

aleksander fredro



państwowy teatr polski bielsko-cieszyń

godzien litości

„I jeśli styl fredrowski nie istnieje, nie narodzi się również i z papierowych dyskusji. Stworzyć go może tylko stała obecność Fredry w repertuarze”.

**Jan Kott**



**ALEKSANDER FREDRO**

Aleksander Fredro

„Trzy po trzy“

(Fragmenty)

Ale chcąc śpiewać „Achilla gniew zgubny“, muszę zastanowić się pierwej, czy mam przedstawić nagą prawdę, czyli też, pożyczając jej tła, zarzucić ją kwiatami fantazji. Prawda w oczy kole, może ukłuć i w uszy, o tym każdy opowiadający pamiętać powinien, ale znowu z drugiej strony uganiać się zawsze za kwiatami i tylko za kwiatami, nimi tylko sypać, nimi zdobić i stroić, strach, by się nie zdarzyło, że ołtarz nie wart ozdoby, albo ozdoba nie godna ołtarza. Prawda tylko piękna! prawda, prawda — wielkie słowo. Ale z prawdą jak z ogniem; grzeje, ale i pali razem. Oby to chcieli poznać i pamiętać ci, co się weredykami lubią nazywać.

Stąd szukają zalety i chluby. Niejeden z nich chępliwie wywołuje: „Powiedziałem mu prawdę, aż mu w pięty poszła!“ Brawo! Ciąłeś jak chirurg, wpuszczales sondę w ranę bez względu na bolesność chorego. Ale czyż to ciębie było koniecznie potrzebnym? Miałeś zaraz w drugim ręku gojący balsam? To pytanie... tak jest, wielkie pytanie, równie jak i to, czy ta prawda, którą weiskasz w głąb serca, którą mącisz myśl swobodną, która — jak drugi los — wytrącasz z dawnej, a rzucasz w nową koleją, — którą zgniatasz czasem całe życie duszy, zgniatasz na miążgę jak ową jagodę, co ci padła pod stopę i której potem już jeden Bóg tylko może wrócić dawny kształt, dawne jądro, dawną barwę, czy ta prawda, mówię, jest istotną prawdą? Czy nie jest owocem twojego tylko własnego rozumowania, rozumowania podległego błędowi, bo lubo weredyk, nie jesteś niczym więcej jak człowiekiem. A jeżeli jeszcze twój wyrok ozłaczasz przyjaźnią, wzmacniasz ufnością w nią tego, co się wije pod twymi razami, — jeżeli nie rozważyłeś wprzód, czy wyjawienie owej mniemanej a bolesnej prawdy jest nieodzowne potrzebny, — czy nareszcie masz w ręku środki zaradcze, — wtedy jesteś bez serca, bo się pastwisz, bez

rozumu, bo działasz bez celu. Po cóż pozbawiasz mnie ufności w siebie i ludzi, jeżeli nieufność nie naprawi nie zdola? Po co mniesz, zrywasz moją uludę, jeżeli nikomu szkodną nie była, a rzeczywistość ani mnie, ani komu bądź pomóc nie może? Dlaczego nie dozwalasz mi snu, gdy zadrzem na szczątkach mego szczęścia lub nadziei moich, jeżeli mi dać lepszego posłania nie jesteś w stanie? Czemu gasisz pochodnię, co mi swoją łuną w daleką przyszłość świeciła, kiedy nie stać cię w twoim ubóstwie na jedną iskierkę? Dlaczego rachujesz mi w ucho wszystkie gromy na mnie rzucone, kiedy od nich nie zasłaniasz, a ja unikać nie mogę? Po co? Czemu? Dlaczego? Tysiąc razy jeszcze mógłbym się zapytać, ale zawsze musiałbym odpowiedzieć: — Dlatego, bo lubisz pluskać się, przeciągać, rozkoszować w ciepłej kąpielce zadowolenia z własnej wyższości, bo lubisz mieć kłęzących wokół siebie, bo wtenczas tylko widzisz się wyższym.

Proszę mi przebaczyć ten, że się tak wyrażę, gwałtowny wybryk przeciw weredykom. Bo taki weredyk stąpił kiedyś na serce moje i zgniótł je raz na zawsze.

W jakiejś operetce Bogusławskiego śpiewa jakiś moralista: „Pochlebiaj, a będziesz szczęśliwy“. Można by dodać: „i będziesz lubiony“. Miałoby to być słowem zagadki? Bądź jakim chcesz, ale pochlebiaj. „Pochlebstwo chociaż się rzekomo odrzuca, smakuje przecie“, powiedział i śp. Andrzej Maks. Fredro. Ale jakie ma być pochlebstwo, jak i gdzie go użyć, w tym sztuka, w tym rozum. Są pochlebstwa czynne i pochlebstwa biernie. W rzedzie tych ostatnich najgłośniejsze: Nigdy nic lepiej nie wiedzieć jak ten, któremu podobać się trzeba. A jeżeli zależy ci na tym, aby twoje zdanie przemogło, wykręcajże tak, abyś nim nigdy nie zwyciężył, ale raczej mu ulegał.

Mówią, że trzeba kochać przyjaciół i z ich wadami. Ja utrzymuję, że się ich kocha właśnie dla ich wad. Ty nie wiesz tego, a ja tamtego, — ja niemiły w tym, a ty w tamtym, — więc kwita — równość. Człowiek doskonały we wszystkim, gdyby się znalazł na świecie, mógłby być uwielbiony, można by z niego wielkie ciągnąć korzyści, ale pożytek z nim byłoby pewnie najnieznośniejszym. Obok doskonałości nasza indywidualność spadłaby pewnie niżej zera.

A, jak bajka powiada, „miłość własną ma i ptak“.

Skleśla się jakaś nazwa arystokracji, która stała się jakby obszerną skarboną, w którą każdy pchał swoją prywatną obelgę lub uposłedzenie; która stała się łączym tylko wyrazem, rzuconym tej koterii, co z jakich bądź powodów zawiść u drugich wzbudzała.

Bo cóż jest arystokracja w Galicji, jeżeli nie słowem bez treści. Gdzież te sejmy, parlamenta, kongresy, gdzie... jedną opinią falanża arystokratyczna miejsce zajęła? Gdzie są jej wyłączne przywileje w składzie socjalnym? Gdzie te nienaruszone naczelnie majątki,

utrzymujące w wybranych rodzinach przewagę albo wpływ w interesach kraju? Albo nasze społeczeństwo rozdwojone jest w dwie równosilne partie, których opinie stanowią różnice, z których jedna oznaczona arystokratyzmem a druga szlachectwem. Nie, bynajmniej, na szczęście nasze opinie nie połączyły się w partię, nie mają sztandarów, wkoło których pewna liczba mogłaby się gromadzić, mogła obliczać się wzajemnie.

Cóż więc rozbraja braci szlachtę? Bodaż czy nie prywatnie, kryjąca się w pożyczane osłony. Majątek tylko, jak niegdyś w Polsce, tak teraz w Galicji istotną stanowi różnicę, ale gdzież tej różnicy nie ma, a gdzieś łatwiej, jak... ta różnica przenosi się z głowy na głowę, z rodziny na rodzinę. Widzimy często potomków znakomitych familii w prywatnej służbie, tak jak widzimy wielu galicyjskich magnatów, którzy w swoim trzecim pokoleniu w górę nie znaleźliby i ze świecą ani kapki szlachectwa. Ale ogólnie biorąc nie tylko Galicję, lecz Polskę, nie czas tylko teraźniejszy, ale i dawniejszy — zdaje mi się, że główną przyczyną niesfornych wybryków narodu jest owa wieczna młodość jego charakteru. Ona to pcha do błyszczącego zwierciadła, co nam nie świat nowy, ale tylko nasze własne uczucia odbija. Dla niej księga doświadczenia zamknięta, dla niej wszelka rachuba na przyszłość mozolna. Ona to może okazywać się czymś więcej, niż jest w istocie. Ona wiedzie do wydatków nad możność, a gdy stąd zle skutki nastąpią, wtenczas wyrasta zawiść ku tym, którym lepiej się wiedzie, albo którzy także taki sam odgrywają dramat, tylko że są jeszcze w pierwszym akcie.

Może mnie się śniło, że sparłem się na chłopku jak na bracie. Może on marzył, że jał mnie w objęcia jak brata, że z ufnością w łączne siły spoglądaliśmy spokojnie na jutrzeńkę, co ponad odłogi, zwaliska, cmentarze ozlacała nowe, nowego kształtu budowy. Może to był sen, a może kiedyś stanie się rzeczywistością...

Aleksander Fredro

## Uwagi i opinie

*F*redro za mało dziś w miarę swej wartości znany, za mało ceniony, albo powiedzmy lepiej, nie oceniony zupełnie; później zapewne odbierze sprawiedliwość od wnuków.

Ignacy Kraszewski

Rok 1842

*J*est strona teatru Fredry nader dla nas zbawienna. Nasze porozbiorowe społeczeństwo, jak już nieraz zauważono, zanadto, zbytecznie rozmiłowało się w łzach i lamencie. Nie mogło być inaczej poniekąd, i w tych łzach było wiele szczyrych, w tym lamencie wiele prawdziwej i szlachetnej boleści, skłonni przecież zawsze do przesady, przesadziliśmy i łzami, i lamentem, i odwoływaniem się do litości i miłosierdzia ludzkiego, staliśmy się beksami, co gorsza, nieraz graliśmy boleść, w tych potokach łez zatopiliśmy niejedną myśl dodatnią, a tym lamentem przygluszyliśmy niejedno dobre, zdrowe, mądre słowo, wpadliśmy z nich w rodzaj ekstazy, która była po prostu bezczynnością, zaczęliśmy wierzyć, że wypłaczymy sobie ojczyznę. Smutkiem i żalobą naszą nudziliśmy nieraz, niecierpliwiliśmy często, a sami miękliśmy w nich i tracili potrzebny w takich, w jakich my znajdujemy się okolicznościach, hart duszy. Tego chorobliwego smutku, tej obfitości łez i ostentacyjnej żaloby mamy zbyt może liczne ślady w całej porozbiorowej literaturze. Najniezszczęśliwszy naród nie może żyć tylko łzami i westchnieniami, potrzebny i jemu śmiech do zdrowia, ale musi on być szczyrym, uczciwym, samorodnym, rodzimym. Twórcą tego porozbiorowego śmiechu był u nas Fredro. Smialiśmy się i zawsze śmiać się będziemy tym śmiechem, bo

jest on na wskroś polskim, bo jest w nim ciepło polskie, bo jest uczciwym, przystojnym, a tym samym zdrowym i dającym zdrowie. Błogosławiony ten śmiech!

Stanisław Koźmian

Rok 1876

My jeszcze nie cenimy tak Fredry, jak na to zasługuje. Nie domyślamy się nawet, jaką wielkość posiadamy w twórcy Zemsty! To jeden z najbardziej narodowych naszych pisarzy... Jestem przekonany, że nastanie taka epoka, w której przyjdzie kolej na kult Fredry. A przy tym Fredro nigdy się nie zestarzeje, nie wyjdzie z mody, bo jest na wskroś polski i ludzki. Może przyjsć taka epoka, że ludzie zapomną o Słowackim, o Krasińskim, że nie będą czytali Wallenroda lub Dziadów, ale Pana Tadeusza i komedie Fredry — najcelniejsze oczywiście — będą czytali zawsze.

Julian Klaczko

Fredro to wielka poezja polska, nie ta zrodzona z niewoli i męki, patologiczna i wzniosła, natchniona i obłąkana w swojej monotonii, nie ta której duch narodu zawdzięcza swoje ocalenie ale i swoje straszliwe skrzywienie zarazem, ale ta Polska odwieczna, po której ów epizod krwi i hańby spłynął nie znacząc na niej śladów tak jak spłynął bez śladu po glebie oranej przez polskiego chłopca, ta Polska, która otwiera nam ramiona dzisiaj. Tę niespożytą polskość, jaka kryje się w uśmiechu Fredry, nie dość rozumiano za jego życia" nie prędko zrozumiano ją i po jego śmierci. Pojęcie wielkości, poezji, utożsamilo się z wyrazem bólu narodowego lub nawet z jego gestem, nie jeden wieszcz, nie zawsze nawet najczystszej wody, który górnice rozdzierał szaty nad losem ojczyzny, przestonił tedy Fredrę naszemu sercu i pamięci. Fredro szat nad ojczyzną nie rozdzierał, bo on nią był, najgłębiej może, bo bezwiednie. I był jednym z największych polskich artystów, tym którego nazwisko możemy, bez cienia szowinizmu, postawić obok pierwszych nazwisk świata, Przełom, jaki dziś zaszedł w naszym życiu narodowym, stanie się nieodzownie zaczątkiem ogromnych przemian

PANSTWOWY TEATR POLSKI  
BIELSKO-CIESZYN

DYREKTOR I KIEROWNIK ARTYSTYCZNY  
ANDRZEJ URAMOWICZ  
KIEROWNIK LITERACKI  
BOLESŁAW LUBOSZ

PREMIERA 20. IV. 1960 R.

ALEKSANDER FREDRO

# „GODZIEN LITOŚCI”

Komedia w trzech aktach

## OSOBY:

WARSKI . . . . .	— RUDOLF LUSZCZAK
ANTONIA, jego córka . . . . .	— ZOFIA JAROŃCZYK
LAURA ŁĘCKA, młoda wdowa . . . . .	— JANUSZA SKUBIEJSKA
DORMUND . . . . .	— WACŁAW ROGUCKI
ELWIN . . . . .	— WIESŁAW CELLARI
SLUŻĄCY . . . . .	* * *

Rzecz dzieje się w mieście

## REŻYSERIA:

ANDRZEJ BRZEZIŃSKI

## SCENOGRAFIA:

ZDZISŁAW KORELESKI

## ASYSTENT REŻYSERA:

RUDOLF LUSZCZAK

#### ZESPÓŁ TECHNICZNY

KIEROWNIK TECHNICZNY	— TADEUSZ KOCHAŃSKI
KIEROWNIK OŚWIETLENIA	— ALFONS KWOKA
BRYGADIER SCENY	— KAROL SOLTYSIK FRANCISZEK TOMALA
REKWIZYTOR	— WŁADYSŁAW KONICKI CZESŁAW FOLTA
KIEROWNIK PRAC. KRAWIECKIEJ DAMSKO-MĘSKIEJ	— JOZEF KŁODA
KIER. PRAC. PERUK.	— RYSZARD PALUCH
KIEROWNIK PRAC. STOL	— MARIAN KOBIELSKI
PRACOWNIA MALARSKA	— JULIAN KOCIOMYK
PRACOWNIA TAPICERSKA	— LEON BARTOSZ
PRACOWNIA ŚLUSARSKA	— STANISŁAW FOLTA

polskiej myśli i odczuwania, także i w zakresie retrospektywnym, jestem przekonany, że wiele relikwii polskiej literatury spokojnie w proch zetjele w swoich relikwiarzach, podczas gdy imię Fredry, nie przesłaniane już przez mgły i dymy narodowych smutków, jaśnieć nam będzie coraz żywszym blaskiem wielkiej sztuki.

**Tadeusz Boy-Zeleński**

**Rok 1919**

**R**omantyzm — był w dużej swej części zapowiedzią świata, który ma się urodzić, Fredro zaś myślał tak, jak my dziś myślimy: w kategoriach świata, który już się narodził, który stał się i jest dotykającym konkretem i który wymaga, aby go traktować jako realność, a nie jako zamysł i idee.

**Wilam Horzyca**

**W**łaściwym polem mistrzowskiego artyzmu Fredry był komizm, występujący w jego twórczości we wszelkich możliwych rodzajach. Jako komediopisarz Fredro nie ustępuje Plautowi ani nawet Molierowi, owym dwóm największym twórcom na tym polu, i od nich obu jest inny. Porównywano też Fredrę z pisarzem mniejszej od niego miary, ale który wywarł nań niezaprzeczony wpływ, z Goldonim; zapewne, usposobieniem Fredro bliski był komediopisarzowi włoskiemu, artyzmem przerasta go jednak tak wysoko, że całe to pokrewieństwo ogranicza się do mniej istotnych związków, mniej więcej takich, jakie np. wykryto między Panem Tadeuszem a powieściami Waltera Scotta, czyli do podobieństw zewnętrznie dotykalnych, lecz w istocie rzeczy tylko powierzchownych, bynajmniej nie sięgających do jądra artyzmu. Stawiając Fredrę obok Plauta i Moliera, tym więcej należy go cenić, że jest odrębny, że — słowem — Fredro jest po prostu Fredrą.

**Kazimierz Czachowski**

**Rok 1928**

**F**redro bowiem szedł zawsze mimo wszystko swoją własną drogą, nie podlegając specjalnym kierunkom literackim. I w dziedzinie zależności tematycznej czy formalnej śmiało można powiedzieć, że

Fredro, ulegając chwilowo tym czy innym wpływom, biorąc bodźce i zachęty z tych czy innych wzorów, zbliżając się do różnych autorów, szedł, jak to stwierdzają wszyscy krytycy literaccy, zajmujący się stosunkiem komedyj Fredry do utworów innych komediopisarzy, zawsze własną drogą, czerpiąc wzory przede wszystkim z życia, a poznane z innych źródeł z życiem konfrontował, by dać prawdziwą rzeczywistość, przetopioną jednak na własną, oryginalną wizję. By zaś wizja ta w duszy widza czy czytelnika wywołała jak najsilniejsze wrażenia, poeta umiał użyć wszystkich środków, często konwencjonalnych, znanych i używanych powszechnie w ówczesnym teatrze, poddanych jednak zawsze świadomemu celowi. Będzie to dośrodkowość środków komicznych, w zastosowaniu których Fredro okaże się przeważnie oryginalnym i przewyższającym przypadkowe wzory.

**Tadeusz Czapczyński** Rok 1947

W tej mierze można mówić o Fredrze jako ideologicznym obrońcy przeszłości szlacheckiej. Fredro wszakże nie jest jej zaślepionym wielbicielem, ale świetnym i realistycznym znawcą i w tym przede wszystkim kryją się trwałe wartości „Zemsty”.

Fredro nie idealizuje swoich postaci, chociaż tyle humoru i ciepła ożywia jego stosunek do osób „Zemsty”. Nie idealizuje środowiska szlacheckiego, jak to czynili współcześni mu reakcyjni obrońcy szlachetczyzny. Przedstawia jednak ludzi postępujących zgodnie z wymaganiami owego środowiska, niezdolnych wychylić się poza jego normy, niezdolnych je ocenić, spojrzeć z boku. Takie spojrzenie jest spojrzeniem realisty, Fredro je posiada w niezwykłym stopniu. Ludzie „Zemsty” postępują tak, jak zachowywać się musiał przeciętny i typowy człowiek ich czasu i ich stanu społecznego.

**Kazimierz Wyka** Rok 1952

Nie można więc mówić o jego renesansie bez tego wysiłku myśli, który pozwala spojrzeć na dzieło świeżymi, dzisiejszymi oczami. Nie można też o tym mówić bez kontroli dawnych poglądów. Prawdziwy renesans jest zawsze śmiałą, czasem nawet zuchwałą rewizją. Pełne prawo mówienia o renesansie pisarza uzyskujemy dopiero wtedy, kiedy istotnie przyswoiliśmy go naszym czasom świadomie i rozumnie.

Przy takim poczuciu odpowiedzialności za słowo będziemy musieli stwierdzić z całą szczerością, że renesans Fredry jeszcze się u nas nie dokonał. Jesteśmy ledwie w początku tej drogi, która wprowadzi naszego największego pisarza dramatycznego do teatru, który walczy o pełną i dojrzałą świadomość ludzi budujących socjalizm. Nie posiadamy bowiem dotąd własnego, samodzielnego spojrzenia na Fredrę. Zarówno w krytyce, jak i w teatrze powtarzamy, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, przekonania wyniesione z innej cywilizacji.

**Bohdan Korzeniowski** Rok 1953

Fredro zaludnił polską scenę ogromną galerią postaci, w której obok oryginałów szlacheckich, narysowanych z nieporównaną ironią i humorem, znajdujemy drobnych lichwiarzy i świeżo upieczonych hrabiów, domorostych polityków i burżuazyjnych parweniuzsy, starych napoleońskich wiarusów i zrujnowanych arystokratów, prowincjonalnych uwodzicieli i modnych szalapatów, całą małą ludzką komedię współczesnego życia. Nikt tak jak Fredro nie potrafił oddać gestów i obyczajów, sporów sąsiedzkich i matrymonialnych konfliktów, pierwszych uderzeń serca i stylu zalotów miłosnych, całej urzekającej prawdy codziennego życia, którą z wysoka omijał wielki dramat romantyczny.

**Jan Kott** Rok 1955



Aleksander Fredro

### Pro memoria

Wyjechaliśmy razem nie z równych pobudek,  
Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.  
Tęskniłem za obozem... nudziłem się przeto,  
I ażeby coś zrobić, zostałem poeta.  
Poetą! ... Tam do licha! ... To panie, nie żarty!  
Byłżeś przynajmniej silną nauką podparty?  
Ach gdzie tam! ... Byłem sobie, ot szesnastoletnim  
Pośród dwóch guwernerów nieukiem kompletnym,  
Nigdy mi się nad książką nie zmarszczyło czoło,  
Trąbka myśliwska w kniei była moją szkołą.  
A kiedy niespodzianie zafurknął porozec,  
W to mi graj! ... Zegnając rodzicielski dworzec,  
Zegnając biblioteki zasuwy spokojne,  
Z radosnym uniesieniem ruszyłem na wojnę.  
A gdym przedeptał obręcz i prysku i lodu,  
Moskwy, Paryża, Wiednia od grodu do grodu,  
Ze sześciomiesięcznym niewoli popasem,  
Wróciłem z niezwiększonym nauki zapasem.  
Wróciłem, prawdę mówiąc, bez celu do kraju,  
Lecz z pękiem doświadczenia różnego rodzaju.  
Razu jednego kiedy w malignie zasnąłem,  
Wpadł mi palec w kałamarz i pisać zacząłem,  
Oczywiście komedią, której bez nauki  
A na najpierwszych scenach pojąłem treść sztuki.  
Pisałem więc z tą wieku młodego odwagą,  
Co się często dla drugich ciężką staje plaga.  
Chciałem zasłęgać rady... ale na me nogi  
Literackich świeczników za wysokie progi  
I jeśli się zbliżyłem, bijąc kornym czołem,  
Tak czy siak, koniec końców zawsze szcztuka wziąłem  
U jednego trzy akty ledwie wybrałem,  
Bo swoje bajki z ciągłym wygłaszał zapałem,  
A finalnie półgębkiem skończył na odprawie,  
Ze podobnych Geldhabów nie mamy w Warszawie.

Drugi zaś nieruchomy klasyk ostrokiuty,  
Który z tej samej jednej zawsze śpiewał nuty,  
Dał wyrok, że zły papier, atrament za blade,  
I ani słowa więcej. — Szukajże tu rady!...  
Nie wiedząc już nareszcie, jak poradzić sobie,  
Z najmędrszym Gramatykiem skromny układ robię:  
Darowałem mu pisma, ażeby poprawił,  
Potem wydał.. a sobie wawrzyny zostawił.  
Mędrzec wziął, co chciał. A musiałem bez swatów  
Uratować wawrzyny za dziesięć dukatów.  
Po takich próbach, których cząstki tu nie mieszczę,  
Trzeba było jeść diabła, aby pisać jeszcze.  
Publiczność tylko szczerą, tę miałem po sobie,  
Inaczej byłbym dernął zaraz w pierwszej dobie.  
Przy tym i teatralne dzienniki w Warszawie  
Przemawiały od razu mniej więcej łaskawie.  
W lwowskich tylko, jak mówię, i pies nie zaszczekał,

Ale nic nie straciłem, żem lat kilka czekał.  
Bo jakiś Minos powstał i zaszczekał wściekle,  
Chciałby moich pięć tomów w piątym widzieć piekle.  
Złem pisał. — Zgoda. — Ale źle pisać nie zbrodnia,  
Trafiło się to dawniej i trafia się co dnia.  
Byłem więc więcej złością niż treścią zdziwiony,  
A kiedy nikt się mojej nie podjął obrony,  
Nie mogłem pojąć, zgadnąć, czy rada czy zdrada,  
I zrozumiałem tylko, że milczeć wypada.  
Milczałem lat piętnaście i nie schudłem wcale.  
Jakżem się nagle znalazł w moim dawnym szale?  
O! w labiryncie życia ścieżki niezliczone,  
Nikt nigdy nie przewidzi, w jaką zajdzie stronę.  
Nie jeden mimo przestróg i przewodniej nici,  
Chcąc chwycić Apolina, żandarma uchwyci,  
Tak i ja z łaski głupców, ich zwodnej przyjaźni,  
Tuj, tuj, że nie beknąłem w Temidowej kaźni.  
Gdy bowiem ktoś nie pomny na wypadki krwawe  
Wkrótce o ekonomii rozpoczął rozprawę,  
Rzucono kilka wierszów, wprowadzie nie z Parnasu,  
Ale zastosowanych do miejsca i czasu:  
Finał był taki:

„A rząd—? ... Rząd, Mospanie, kiep!  
Jego argumentem stryczek albo cep;  
Gdzie taka Ekonomia wzrasta,  
Wszystko błazeństwo i basta;“

Stadyjon przejął wieszczę, mnie oskarżył o nie,  
Zgromadził całe gremium w rządowym salonie,  
I słuchajcie! słuchajcie! Do uwagi zmusił;  
Etmajer deklamował... na kpie się zakosztował,

Stadion kichnął, kichnęli wszyscy hofratowie,  
A ja miałem gdzieś w kozie powiedzieć: „Na zdrowie!”  
Przyszła chwila odwetu — każdy miał swój znaczek,  
Bo zemsta, jak to mówią, królewski przysmaczek.  
Zbombardowano wieżę... od tak, dla uciechy,  
Za mniemane a wsteczne oskarżono grzechy.  
Miera, ambasadora, że kładł barykady  
Mnie zaś, żem lżył Cesarza wśród Rudeckiej Rady.  
Smiano się do rozpuku, nie dając im wiary,  
Ale wiary nie trzeba, kiedy trzeba kary.  
Jak szydło z worka, Stadion wylazł w danej chwili.  
Kto tam zapłacił, nie wiem, lecz świadków kupili  
I fałsz miał zostać prawdą. — Nareszcie pojąłem,  
Ze słowo wzlata ptaszkiem, a powraca wołem,  
A mówiąc między nami, szczerze wam udzielię,  
Ze moich piosenek były niezbyt głośne trele,  
Udając zaś fantazję przed grożącą kozą,  
Napisałem komedię... Lecz tym razem prozą.  
A napisawszy jedną, po szczęsnym pogoju,  
Do dawnego, niestety, wróciłem nałogu.  
Ale już teraz piszę tylko dla szuflady,  
Bo pochwałam nie wierzę... Za późno na rady.  
A teraz to Pro memoria spisuję dokładnie,  
Aby gwizdano, jak kurtyna spadnie.

29 października 1872.

REDAKCJA PROGRAMU:  
BOLESŁAW LUBOSZ

